NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 24 marca 1923. Nr. 12.

Czyje dziecko?



(Rycina do artykułu na stronie trzeciej).

Od Redakcyi.

„Tajemniczy Talizman“ i „Odchłań“, dwie powieści Maryi Segeny, zmuszeni jesteśmy **chwilowo przerwać z powodu ciężkiej choroby autorki.** — Ażeby jednak P. T. Czytelnikom i Czytelniczkom naszym wynagrodzić tę stratę, rozpoczynamy w dzisiejszym numerze niezmiernie interesującą powieść młodej, lecz utalentowanej autorki, p. Jadwigi Migowej. Fantastyczna treść utworu nie jest pozbawiona aktualności. Ludzkość od niepamiętnych marzy czasów o tem, aby rozwiązać problem Fausta— problem powrotu młodości... W obecnej dobie odmładzające eksperymenty metodą dra Steinacha budzą olbrzymie zainteresowanie...

Na tem to właśnie tle osnuła najnowszą swoją powieść utalentowana powieściopisarka i satyryczka **Jadwiga Migowa, której powieści drukowane na łamach „Nowości Illustrowanych“ spotykały się zawsze z tak wielkiem uznaniem.** To też Czytelnicy nasi z zadowoleniem przyjmą niechybnie wiadomość, że rozpoczynamy nową powieść wypróbowanego pióra autorki „Wojennego małżeństwa“ i „Panterki“.

Powieść ta p. t.

„Odmłodzenie dra Wyrobkówny“

opowiada z humorem o niezwykłych przygodach uczonej niewiasty, profesorki uniwersytetu, która powodowana spóźnioną miłością — poddała się odmładzającej operacyi...

Fabuła, przykuwająca od pierwszego rozdziału uwagę Czytelnika, tryska dowcipem i humorem, a pomimo fantastycznego założenia — odznacza się niesłychanie trafną psychologią...

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

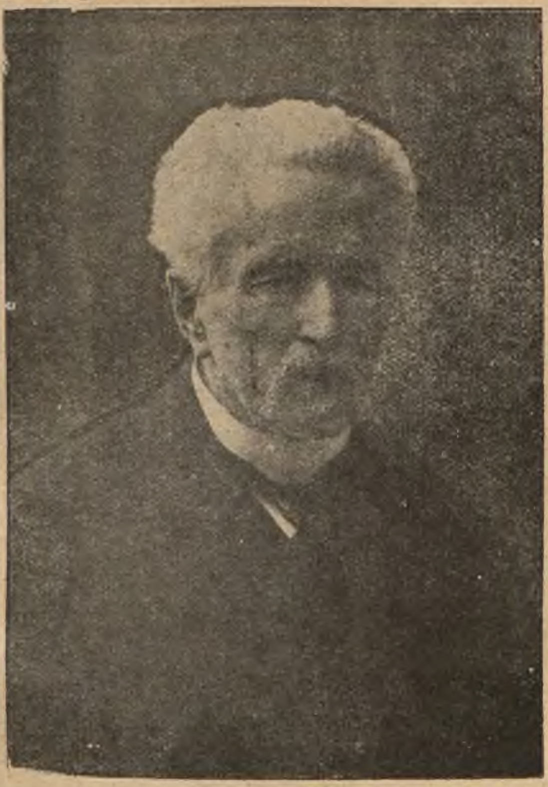
Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.“ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“.** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.



Zmiany w Muzeum Narodowem w Krakowie: Wielka sala po ustawieniu w niej gablot i wiatraków.



Zgon uczonego: Ś. p. prof. dr. Józef Tretiak.



Zmiany w Muzeum Narodowem w Krakowie: Część sali ze zbiorami Stan. Ursyn-Rusieckiego.

Czyje dziecko?

(Do illustracyi tytułowej).

Niezgłębioną zagadką jest człowiek. Zwłaszcza okryte są tajemnicą przyszłe losy każdego noworodka. Któż zgadnie, patrząc na te, tak podobne do siebie maleństwa — co z nich wyrośnie, jaką drogą potoczy się ich życie, czy będzie to geniusz, czy może zbrodniarz?... To podobieństwo maleństw, wchodzących dopiero na drogę życia, powoduje często straszne tragedye dla matek, nie mogących odszukać swych dzieci. Taki przykry wypadek zdarzył się żonie urzędnika bankowego w szpitalu lwowskim. Powiła ona tam zdrowego i ładnego chłopca, ale podczas kąpieli zamieniono jej dziecko i zamiast chłopca — przyniesiono dziewczynkę.

Zaczęły się poszukiwania, ale wśród 6 chłopców i 5 dziewczynek okazało się to niemożliwem. Dzieci były tak podobne do siebie, że matka nie mogła rozpoznać swojego i na całe życie wzięła dziecko, nie mając pewności, że to właśnie jej potomek.

Zmiany w Muzeum Narodowem w Krakowie.

W ostatnich tygodniach dokonano różnych zmian w całej galeryi Muzeum Narodowego w Krakowie. Wydobyto ze składów dużo obrazów i rzeźb, porozmieszczano je w różnych miejscach niezbyt odpowiednich, a częściowo także bliżej sufitu makaty i kilimy. Najważniejszej zmiany dokonano w sali z bocznem światłem, w której umieszczono zbiory Stan. hr. Ursyn- Rusieckiego. Zbiory te, darowane Muzeum Narodowemu już przed kilkunastu laty, można dopiero teraz należycie ocenić.

Składają się na nie przedewszystkiem cenne obrazy mistrzów obcych, jak Piotra Breughel'a, („Walka karnawału z postem" i inne), Hen. Averkampa, Dietricha, Dusarta i wielu innych. Oprócz polskich obrazów z epoki Stanisława Augusta ozdobą sali są dwa piękne garnitury mebli z końca XVIII. w. Wśród licznych dzieł przemysłu artystycznego zasługują na uwagę piękne makaty oraz szpalery polskie haftowane z XVIII. wieku, bogaty zbiór szkła i porcelany i wiele innych. Sala urządzona starannie, robi wrażenie bardzo korzystne i odtąd ma być uważana za salę im. Stanisława Ursyn-Rusieckiego.

Zgon uczonego.

W niedzielę rozstał się z tym światem w Krakowie znany uczony polski ś. p. prof. dr. Józef Tretiak. Urodzony w r. 1841 na Wołyniu udał się w r. 1859. na studya do Kijowa, gdzie zapisał się na wydział historyczno-filologiczny. W roku 1865. z powodu represyi rządu carskiego, zmuszony został wyjechać z Rosyi i udał się początkowo do Włoch, potem zaś do Szwajcaryi. W roku 1866/7.



Zmiany w Muzeum Narodowem w Krakowie: Fragment sali ze zbiorami Stan. Ursyn-Rusieckiego. Nad garniturem mebli z XVIII. wieku obraz Piotra Breughel'a „Walka karnawału z postem".





Jaworzyna będzie przyznana Polsce:

Widok na otoczenie Jaworzyny.

Jaworzyna spiska (osada).



Próby zbliżenia czesko-polskiego: Prof Adolf Czerny, wybitny czeski literat.



Dookoła światowej senzacyi: Królowa belgijska ze swym orszakiem zwiedza grobowiec Faraona Tutankhamona.

studyuje w Paryżu w Sorbonie i College de France. Następnego roku przybywa do Lwowa, gdzie redaguje feljetony w „Gazecie Narodowej“. Tu zapisuje się równocześnie na uniwersytet, a w roku 1877. składa egzamin, poczem otrzymuje posadę nauczyciela w gimnazyum we Lwowie. W roku 1885. otrzymuje tytuł doktora filozofii na Uniw. Jagiellońskim w Krakowie. Jako już znany uczony w roku 1888. zostaje członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, a w roku 1890. habilituje się na docenta literatury polskiej w Uniw. Jagiellońskim. Na dalsze studya nad literaturą polską i ruską wyjeżdża do Berlina, Poznania i Warszawy. Po powrocie w rok później zostaje zastępcą prof. St Tarnowskiego, a w roku 1894. zostaje nadzwyczajnym profesorem literatury polskiej. Katedrę literatury ruskiej i polskiej otrzymuje Tretiak w r. 1898.

Z powodu przekroczenia wieku w roku 1911. ustępuje z uniwersytetu i od tego czasu pracuje tylko w Akademii Umiejętności, jako członek czynny Wydziału filozoficznego.

Ś. p. Tretiak pozostawił po sobie niezwykle wielką spuściznę literacko-naukową. Wśród licznych dzieł wydanych przeważnie przez Akademię Umiejętności zasługują na uwagę: „Bohdan Zaleski“ 3 tomy, „Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii brzeskiej“, „Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł“, „Wojna Chocimska“, dalej dzieła o Krasińskim, pomnikowe dzieło o Słowackim, o zabytkach poezyi polskiej z końca 16-go i początku 17-go wieku. W roku 1920. napisał Tretiak dzieło p. t. „Finis Poloniae historycznej legendy maciejowickiej“. Dzieło to dotąd jeszcze nie zostało wydane.

Jaworzyna będzie przyznana Polsce.

Toczący się od tak dawna spór o Jaworzynę spiską został wreszcie pomyślnie załatwiony. Zawiadomił o tem czeski min. spraw zagranicznych, dr. Benesz na posiedzeniu Senatu. W ciągu kilku dni ma być ogłoszone w Paryżu rozstrzygnięcie zatargu pomiędzy Polską a Czechami, a zawiera ono odrzucenie protestu dr. Benesza przeciw uchwale Komisyi delimitacyjnej. W ten sposób trzy czwarte Jaworzyny przechodzi do Polski.

Ponieważ nawet ci, co w Tatrach bywają, nie wiedzą dobrze, gdzie ona leży i jak wygląda, nie od rzeczy będzie przedstawić ją w krótkim opisie. Jaworzyna spiska jest bezpośrednią sąsiadką Morskiego Oka, leży zatem u północnego podnóża Tatr. Żabie szczyty od wschodniej strony tego jeziora, a poniżej potok Białka, biegnący na znacznej przestrzeni tuż obok znanego turystom gościńca zakopiańskiego, rozgraniczają polskie Tatry i Podhale od obszaru Jaworzyny; wszyscy zatem wycieczkujący do Morskiego Oka bezpośrednio się o nią ocierają, choć zwykle o tem wcale nie wiedzą. Jaworzyna jest magnacką fortuną pruskiego księcia Hohenlohego, a głównem jej bogactwem są olbrzymie lasy. Nabył ją obecny właściciel od węg. rodu bar. Horwathów-Palocsayów w celach myśliwskich. Znaczną przestrzeń swych lasów zamienił on na zwierzyniec, ujęty w wysokie żerdkowe ogrodzenie, widne dobrze ze wspomnianego gościńca. Na przestrzeni tej ograniczony został ruch turystyczny dla zachowania spokoju, potrzebnego dla hodowania tu zwierząt rodzimych, jak kozice, dziki, jelenie, a nawet egzotycznych, jak amerykańskie bawoły i kaukazkie koziorożce.

Do bardzo odległych stąd wiosek i miasteczek spiskich, należących do Czech, wiedzie z Jaworzyny tylko jedna uciążliwa droga, przez przełęcz Żarską, śniegami przez większą część roku zawaloną. Komunikacyjny więc związek tej miejscowości z Czechami jest bardzo luźny, kosztowny i uciążliwy. Natomiast związek Jaworzyny z Polską nawet laika uderza w oczy, jej zaś przynależność do państwa czeskiego jest rażącem pogwałceniem wszelkich praw przyrody. Jest także pogwałceniem praw historycznych, bo Jaworzyna dwukrotnie do Polski należała, a jest także pogwałceniem i praw etnograficznych, bo Jaworzyna znajduje się na polskim obszarze językowym i polską ma ludność. To też decyzyę mocarstw Koalicyi, przyznającą nam choć w części ten obszar tatrzański, opinia polska przyjmie jako zadośćuczynienie naszym słusznym prawom.

Próby zbliżenia czesko-polskiego.

W murach swych gości Kraków wybitnego czeskiego literata i poetę, prof. Adolfa Czernego, który przybył do naszego miasta celem wygłoszenia cyklu wykładów z zakresu współczesnej literatury czeskiej.

Prof. Czerny od szeregu lat dał się poznać, jako prawdziwy przyjaciel Polaków i jeden z głównych propagatorów idei zbliżenia czesko-polskiego. Jest on doskonałym znawcą naszej literatury, na język czeski przełożył cały szereg utworów pisarzy polskich obecnej doby, był lektorem języka





Najazd litewski na Kłajpedę:

Oddział kawaleryi litewskiej na ulicach miasta.

„Komitet rewolucyjny“ podczas przeglądu wojsk litewskich.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

7) **Powieść z francuskiego**

LV.

Scena ta, której nie mogę analizować, gdyż wszelkie uczucia rozpłomieniają się we mnie i burzą, gdy sobie przypomnę, jak mnie zmięszała, scena ta, w której ojciec mój okazał się tak szczytnym, tak daleko przewidującym, a w której ja grałem tak nędzną rolę, sprawiła to, iż poczułem w sobie nienawiść ku hrabinie.

Po raz pierwszy od czasu, jak istniał nasz związek, upatrzyłem w niej przyczynę utraty mej reputacyi, zmarnowania przyszłości, ruiny i poniżenia, a przedewszystkiem przyczynę głębokiego zmartwienia mego o ca. Teraz pomiędzy mną, a środkami ku zrehabilitowaniu się, ja kichbym próbował, hrabina stawała jako największa przeszkoda.

I rzeczywiście nie tylko zabrała mi ona życie, ale zabrała mi wszystkie myśli. Do czegóż byłem zdolny, przy tej niespokojności, jaką napełniała mi serce? Czemże poważnem mogłem się zająć od czasu, jak przyzwyczaiła mnie do próżniaczego życia? Dzięki jej doznawałem największej goryczy, jaka może opanować duszę człowieka: straciłem wiarę w samego siebie.

Jednak należało być posłusznym ojcu. Nie miałem pojęcia nawet o ważności tego, do czego zobowiązałem się i nie domyślałem się, jak trudno mi będzie dotrzymać przyrzeczenia danego mu.

Oddawna już rozmyślałem nad napisaniem poważnego dzieła o niektórych, bardzo spornych faktach z dziejów rewolucyi francuskiej. Kilka miesięcy poszukiwań w archiwach i rok pracy mogłyby wystarczyć na to.

Bezzwłocznie więc począłem szukać wydawcy. Znalazłem go. Objaśniłem mój plan. Podobał mu się, chociaż był tak liberalny, iż odjąłby odwagę najśmielszemu. Dzięki pewnemu rodzajowi wziętości, jaką nabyłem w uniwersytecie, wydawca dawał mi tysiąc dwieście franków za rękopis.

Wyszedłem od niego zrozpaczony. Tysiąc dwieście franków! Suma, którą wydawałem w piętnastu dniach! I czekać na nią ośmnaście miesięcy!

A jak żyć tymczasem?

Przytem nie łudziłem się, iż w stanie, w jakim znajdowałem się, nie byłem zdolny do wytrwałej pracy. Muza historyi jest nie mniej od swych sióstr zazdrosną. Nie poddaje się ona wyrachowaniom, narzucanym sobie. Trzeba albo nie kochać, albo kochać ją tylko, aby raczyła okazać swą przychylność.

Natenczas wziąłem się do tego, do czego oddawna wziąć się należało — do oszczędności. Pozbyłem się konia, kabrioletu, służącego. Lokal, który zajmowałem, był drogi. Lubiłem go przystrajać, gdyż bywała u mnie hrabina. Jakim tu sposobem wynieść się, wynająć pomieszkanie skromniejsze, nie wyznając jej prawdy? Obawiałem się, że zaczn e mną pogardzać, gdy się o niej dowie. Dlaczego człowiek rumieni się, że jest ubogim? Zdawało mi się niedelikatnem dać jej poznać, że była niejako pośrednią sprawczynią mego ubóstwa.

A jednak trzeba było zdecydować się. Długo się do tego przygotowywałem. Nakoniec jednego dnia powiedziałem jej, że doznałem pewnych przewrotów fortuny, dodając do tego bardzo głupio, iż zdarzyć się to może najmajętniejszym.

Na nieszczęście pani Chalis była roztargniona. Zaledwie mnie słuchała i tylko kilka obojętnych słów odrzekła na to. Zdawało się, jakby żałowała, iż zmuszony jestem opuścić moje pomieszkanie. Powiedziała, że klęska majątkowa, jakiej doznałem, zapewne jakoś da się naprawić, że spodziewa się, iż to się wszystko jakoś ułoży z czasem.

Później dopiero dowiedziałem się, iż właśnie w tym dniu mocno była zaniepokojoną klejnotami, które zamówiła telegrafem u jubilera Castellane w Rzymie. Miała dziś się ukazać w tych klejnotach i... nie nadeszły.

LVI.

Nie bez trudności znalazłem pomieszkanie, jakiego mi trzeba było, a nie drogie. Urządziłem je tak wykwintnie, jak tylko mogłem.

Hrabina krzyknęła z przerażenia, ujrzawszy je po raz pierwszy. Zauważyła, że jest niskie i ciemne.

Od czasu przeniesienia się mego do tego nowego lokalu, rozpoczyna się najboleśniejszy okres mego życia. Składało się ono z nędzy ukrywanej i pracy olbrzymiej. Nie chciałem nic brać od ojca i postanowiłem dotrzymać mu słowa.

Napróżno starałem się o pozwolenie na odczyty o Sweteniuszu i o Tacycie — odmówiono mi zupełnie, nawet z goryczą. Aby wyżyć, i to bardzo nędznie, połowę nocy spędzałem na robieniu korekt w jednej drukarni, a większą część dnia na pisaniu artykułów, nędznie płatnych, do jednego przeglądu. Wszystko to przynosiło mi koło trzechset franków miesięcznie. Ta kwota była wprawdzie dostateczną dla mnie, ale już nie mogłem brać udziału w zabawach i rozrywkach hrabiny. Zaledwie miałem tyle czasu, by ją odwiedzić. Aby próżniaczyć na przechadzkach, w teatrach, w towarzystwie — o tem nawet myśleć nie mogłem.

Gdybym nie był zmuszony ukrywać tak starannie ubóstwa, jak jaki czyn haniący, łatwoby mi było znaleźć jaki uczciwy obowiązek. Mogłem zostać nauczycielem w jakim bogatym domu, ale obawiałem się efektu, jakiby taka moja podrzędna posada mogła sprawić na hrabinie.

Większą część zarobionych pieniędzy obracałem na wykwintne utrzymanie mego pomieszkania, aby przyjmować w niem hrabinę — i na porządne ubranie.

Nadeszło lato. Pani Chalis pojechała do Baden. Ja nie mogłem tam za nią podążyć. Pisywałem długie, melancholijne i namiętne listy. Nie czytała ich. Poznałem to z jej odpowiedzi. Tęskniłem za nią, upadałem na duchu, ale miłość moja nie zmniejszała się.

Wtem, jednego dnia, drukarnia, w której pracowałem, zbankrutowała i została zamknięta. Przegląd płacił mi coraz gorzej.

Nadeszła jesień. Nie miałem odwagi stanąć przed ojcem. Nie pojechałem do Nantes. Bieda podnosiła się koło mnie, jak przypływ morza. Bywały dnie, w których musiałem niektóre książki sprzedawać, by mieć za co zjeść obiad.

LVII.

Nastąpiła zima. Byłem na samem dnie otchłani nędzy. Ale z bretońskim uporem nie prosiłem niczyjej łaski i hrabina nie domyślała się niczego. Coraz rzadziej spotykając mię w towarzystwach, prawie nie widując u siebie, sądziła, że powoli usuwam się od niej, robiąc to przy zwoicie. Było to jej na rękę.

Z moich cierpień, z mego straszliwego niedostatku nic na jaw nie wychodziło. Wszystko ukrywałem przed nią.

A jednak pewnego dnia dowiedziała się o całej prawdzie w sposób zupełnie niespodziewany.

Jeden z moich szkolnych towarzyszy baron Montessart którego niekiedy spotykałem następnie w salonach, w czasach, kiedy sam jeszcze w nich bywałem, powróciwszy do Paryża po roku niebytności, spędzonym na zwiedzaniu Indyi i Chin, zamierzył ogłosić drukiem wspomnienia ze swej podróży i ułożył się w tej sprawie z drukarnią, w której pracowałem.

Pewnego dnia przybył on tam z pierwszemi odbitkami i oświadczył, iż chce rozmówić się z korektorem.

Zaprowadzono go do małej izdebki, gdzie właśnie siedziałem, w bluzie, z palcami atramentem powalanemi. Ponieważ nie uprzedzono mnie, nie mogłem więc umknąć, a słysząc, jak otwierają się drzwi, machinalnie podniosłem głowę.

Poznaliśmy się odrazu i baron wykrzyknął zdziwiony:

— Tyżeś to?

— Jak widzisz.

— Jakże się stało, żeś doszedł do tego?

— Straciłem wszystko, com miał.

— Ależ... twoja profesorska posada?

— Miałem pewne nieporozumienia z ministrem i wziąłem dymisyę.

Baron nie mógł przyjść do siebie ze zdziwienia.

— Słuchajno — powiedział, siadając na brzegu stołu, gdyż w izdebce było tylko jedno nadłamane krzesło — nie mówisz mi wszystkiego, mój kochany. Pojąć tego nie mogę, że przy twych zdolnościach, przy reputacyi, jaką sobie wyrobiłeś, mając tyle przyjaciół, po opuszczeniu uniwersytetu nie znalazłeś dla siebie stanowiska bardziej odpowiedniego twojej wartości.

— Czyż są gdzie przyjaciele? - odpowiedziałem.

— Rozumie się.

I poczciwy chłopiec ofiarował mi swą pomoc.

— Dziękuję ci — odrzekłem.

Byłem w strasznej potrzebie; ale pamiętałem, com przyrzekł memu ojcu.

— Praca moja wystarcza mi na życie — dodałem.

Czy baron przypuszczał, iż popełniłem coś bardzo nieuczciwego i z konieczności musiałem się ukrywać w cieniu — tego nie wiem. Przestał nalegać na mnie, a gdym go prosił, by nie rozgłaszał smutnych warunków położenia mego, zdawał się uznawać słuszność mego żądania, iż pragnę być zapomnianym przez towarzystwo paryskie.

Dzieło barona zostało wydrukowane i straciłem go z oczu, zapomniawszy prawie o naszem spotkaniu.

Ale w połowie zimy baron, przedstawiony hrabinie Chalis, raz znajdując się w jej domu, usłyszał moje nazwisko. Było wtedy około dziesięć osób w salonie. Naturalnie, że baron pospieszył dowiadywać się, co się dzieje z biednym chłopcem. Poczęto go wypytywać i zapomniawszy o swem przyrzeczeniu, opowiedział wszystko, co wiedział o mnie.

LVIII.

Można sobie wyobrazić, jak wszyscy byli zdumieni, słuchając opowiadania barona Montessart. Pani Chalis, pomimo, iż umiała doskonale panować nad sobą, omal nie zemdlała.

Postanowiła coprędzej rozpatrzeć i wyjaśnić to wszystko, gdyż nie mogła nawet przypuszczać by była kochanką rzemieślnika.

Właśnie tego samego dnia miała być u mnie. Przypominam sobie, iż czekałem na nią, smutnie spoglądając po mojem mieszkaniu i wyszukując, co mógłbym jeszcze sprzedać z moich ruchomości, aby dostać choć dziesięć franków.

Gdy hrabina weszła i znalazła mię w pokoju prawie porządnym, przed dobrym ogniem na kominku, ubranego, choć nie podług ostatniej mody, ale bardzo przyzwoicie, sądziła, że ją zmistyfikowano i poczęła się śmiać. Potem, chcąc bym podzielił jej wesołość, opowiedziała mi całą historyę.

Ale moja odwaga była już ostatecznie wyczerpaną. Zrazu przeraziła mnie ta myśl, że hrabina wie o wszystkiem, w końcu zrezygnowałem, przenosząc wszystko inne nad marne istnienie, jakie wiodłem od kilku dni. Czułem się tak nieszczęśliwym, iż śmierć zdawałaby mi się wyzwoleniem, gdybym nie był przywiązany do życia samą nicią mojej miłości.

Podczas gdy hrabina mówiła, począłem zwolna odwracać głowę, potem, ponieważ od wybuchów jej śmiechu źle mi się zrobiło, łzy mi stanęły w oczach.

Dostrzegła to i nagle, zmieniając ton, zawołała:

— Jakto? byłożby to prawdą?

— Niestety!

— Ale jakże się to wszystko stało?

— Sam nie wiem. Nie mam nic, nie mam sposobu do życia!

Słabo mi się zrobiło. Schwyciła mię za rękę i zapytała:

— Co to wszystko znaczy?...

— Znaczy to, że drukarnia, w której pracowałem, zamknięta jest od miesiąca i...

— Kończ pan!

— I od dwóch dni nic nie jadłem.

LIX.

Obojgu nam przerażenie odjęło mowę. Ale ona!.. O! takie kobiety, to jak królowie, zdaleka błyszczą, zachwycają, ale nie trzeba przypatrywać się z bliska!... Hrabina zaraz się opamiętała.

— To nie prawda! — zawołała. — To być nie może! Pan kłamiesz... nie wiem dlaczego. Te meble warte są dwa tysiące franków. Gdybyś pan był w takiej potrzebie, jak mówisz, to dawno już sprzedałbyś je!

— Czyż mogłem to zrobić? - odrzekłem. — I tak przychodziłaś tu pani ze wstrętem. Czyż przyszłabyś do jakiej nory? Dla pani to, byś pani miała dokoła kwiaty, dobry ogień, wygody,

do których jest pani przyzwyczajoną, ja sam pozbawiałem się wszystkiego. Patrz pani! miałem kilka obrazów... i te sprzedałem! Niektóre klejnoty, pochodzące jeszcze od mojej matki — również zmuszony byłem sprzedać!... Miałem książki... już ich nie ma!

Hrabina była pomięszana. Teraz nie mogła już wątpić o prawdzie słów moich. Twarz moja, wyraz moich oczu, stwierdzały to, com mówił.

Wychowany w tem przekonaniu, że kobiety, w tem co dotyczy serca, szlachetności uczuć, wyższe są od mężczyzn, spodziewałem się, że hrabina zapłacze. Ileż to kobiet zachwyciłoby się tem, iż zdołały wzbudzić taką miłość! Ale tej nie znałem jeszcze!

Najpierw przygryzła sobie usta do krwi — potem zawołała:

— Opowiedz mi pan wszystko — chcę tego!

Powiedziałem więc wszystko com tu napisał, nic nie ukrywając, nic nie przeinaczając. Gdym skończył, powstała. Była w najwyższym gniewie.

— Dlaczegóż pan sobie tak postąpiłeś? — zapytała.

— Bom cię kochał!

— Eh! Nie trzeba było kochać mnie w ten sposób. Dlaczego nie poradziłeś się mnie, nie zwierzyłeś z niczem?

— Bom cię kochał!...

Wtedy, przybrawszy znaną mi, rozkazującą minę, która była najdokładniejszem odbiciem tego, co się działo w jej duszy, oto co mi powiedziała:

— Jakiem prawem mogłeś pan zmarnować dla mnie całą swoją przyszłość? Czy żądałam tego od pana? Czy przystałabym na to? Gdyś mi pan mówił o swej namiętności, dziwiłeś się zawsze żem się uśmiechała. Otóż, uśmiechałam się, nie dlatego bym o niej wątpiła, ale że miałam nadzieję zniechęcić pana. Cóż pan chce bym robiła ze związkiem poważnym i trwałym? Czy należę do siebie? Czyż nie mam zobowiązań względem towarzystwa? Namiętność zamąca życie, psuje takowe, kompromituje spokój rodzinny, reputacyę kobiety, teraźniejszość męża, przyszłość dzieci! Czy myślisz pan, żem mu wdzięczna za to poświęcenie? Ja go panu nigdy nie przebaczę. Lepiejby było byś się pan ożenił, jak tego życzył sobie ojciec pana. Wszyscy się żenią. Przykroby mi to było, ale ponieważ nigdy nie przypuszczałam byśmy razem spędzili życie, dałabym sobie jakoś radę. Przytem, ponieważ nie miałeś pan majątku, nie trzeba było rzucać swej posady, nie trzeba było marnować spadku po matce i zadłużać się. W jakiemże to położeniu postawiłeś pan mnie! Zako hałeś się pan we mnie, ja sobie podobałam pana, dowiodłam mu to, i w nagrodę za moją przychylność mam teraz zgryzotę, że widzę go zrujnowanym. Ponieważ jestem uczciwą, więc znajduję się w konieczności wynagrodzenia pana. Nie zniosę tego byś pan pomyślał o mnie, jako o przyczynie swych nieszczęść. Ale cóż mogę zrobić? W jaki to labirynt wprowadziłeś mię pan! Nie mam sposobu przywrócić panu posady, jaką zajmowałeś. Co do jego majątku, to chociaż jestem bogatą!... O! nie spiesz pan z wykrzyknikami! Zanadto dobrze pana znam by być przekonaną, iż odrzucisz wszelkie restytucye. Pan jesteś tak skrupulatny we wszystkiem co dotyczy pieniędzy, a tak nic nie przewidujący we wszystkiem innem!...

Nic na to nie odpowiedziałem. Jeszcze raz miała słuszność — i ta słuszność, jak zwykle, była okrutną! W związku naszym upatrywała ona tylko rozrywkę, sposób przepędzenia czasu, być może cośkolwiek żywszego, ostrzejszego, rozrywkę niedozwoloną, która właśnie dlatego pociągała ją ku sobie. Ja w tym związku złożyłem całe moje życie! Wszystko tam zamknąłem. W naszem szczególnem położeniu jedna rzecz tylko była zbyteczną: miłość!

Ale trzeba było odpowiedzieć.

— No! — zawołała hrabina — szukaj pan, wynajduj! Co mogę zrobić dla niego? Co przyjąłbyś?

— Nie mogę zdecydować się na to, by opuścić panią! — odrzekłem. — Jakiemkolwiek jest uczucie pani dla mnie, ja je przyjmuję... Ale opuścić panią... to niepodobna!

Hrabina wydała mi się zakłopotaną. Litość, pogarda i coś podobnego do cierpienia wyraziło się na jej twarzy.

— Ale powiedzże pan nareszcie co mogę zrobić dla niego? — zapytała.

— A więc powiem — odrzekłem rumieniąc się — dzieci pani... kocham je jak gdyby były mojemi. Nadeszła pora, kiedy już nie mogą się obejść bez nauczyciela. Czy zgodzisz się na to bym ja był nim?

W takim razie nie rozłączalibyśmy się. Nie mogła powstrzymać się od ruszenia ramionami ze zdziwienia i rzekła:

— Nauczycielem? Pan?

— Wszak to mój zawód.

— Bezwątpienia — ale u mnie? To nie jest przyszłość!

— To jest chleb.

Ten wyraz: chleb, wydał się jej obrażająco dobitnym, być może, iż sama nigdy nie jadała chleba.

— Mówiłaś mi pani o mojej przyszłości — dodałem — jakiejże innej pragnąć mogę, jeżeli nie takiej by spędzić przy pani moje życie?

Zawahała się... zamyśliła, zmarszczyła brwi, potem wstając, nawet z uśmiechem, rzekła:

— Dobrze! nie h i tak będzie! Przenoś się pan do mnie natychmiast! Będziemy razem obiadowali.

Odprowadziłem ją do drzwi. Stanąwszy na progu, odwróciła się nagle, poczęła się śmiać i zawołała, klasnąwszy w ręce:

— Jak pomyślę, że on dla mnie pozbawiał się wszystkiego, to... Boże! jakże głupi są ci mężczyźni!

LX.

Przyjmując moją propozycyę, hrabina myślała, że wszystko pozostanie jak było. Ja byłem w siódmem niebie. Obopólne nasze złudzenia rozwiały się zaraz na drugi dzień po mojem przeniesieniu się do jej domu.

Natychmiast zająłem się na seryo moim obowiązkiem. Dwa pokoje, które zajmowałem, znajdowały się tuż koło pokoju dzieci, tak że ani na chwilę nie traciłem ich z oczu. Zaraz w pierwszych dniach nawzajem bardzo przypadliśmy sobie do gustu i bezzwłocznie zacząłem przeprowadzać w praktyce plan i system wychowania, jaki uznałem za najstosowniejszy dla ich wieku i pozycyi.

Ale, pozostając ciągle w domu hrabiny, jadając przy jej stole, ciągle spotykając się z nią, wiedząc o wszystkiem co robi, o której godzinie wstaje, wychodzi, powraca, idzie spać, dokąd chodzi, kogo przyjmuje, ileż miałem powodów do ciągłych wzruszeń!

Nie przypuszczałem nawet, by kobieta mogła prowadzić życie takie bezsensowne i kosztowne!

Wydatki były przerażające. Sama hrabina przyznawała się, że corocznie podziewało się jej gdzieś przeszło sto tysięcy franków, o których nic nie wiedziała.

Co do umysłowej sfery, w której żyła, słów mi braknie, by ją opisać! Towarzystwo jej składało się z dwu zupełnie odrębnych frakcyi. Do pierwszej należały osoby, których nazwiska znane były w całej Europie, i które w ten lub inny sposób wysoko w świecie były położone. Takie osobistości ukazywały się u hrabiny rzadko i składały jej tylko ceremonialne wizyty. Druga frakcya, nierównie mniejsza, najwięcej dwadzieścia osób, miała swoje godziny i ukazywała się codziennie. Kobiety, należące do tego ściślejszego towarzystwa — chociaż większa ich część była uczciwa w całem znaczeniu tego wyrazu, modelowały się zewnętrznie na wzór hrabiny. Mężczyźni, byli to młodzi ludzie w rodzaju księcia Titiane, który u hrabiny nadawał ton rozmowom. Przedmiot tych rozmów był niezmiennie jeden i ten sam; toczyły się one o nowych strojach, o modnych rozrywkach, wyścigach, grze, skandalach, a zwłaszcza o czynach i ruchach nawet znakomitych kurtyzanek. Wytrwałość z jaką mężczyźni, należący do towarzystwa pani Chalis, powracali ciągle do tego przedmiotu, w formie przyzwoitej, co prawda, przekonała mię, że kobiety niezmiernie rozciekawiało wszystko, mające styczność z tą materyą. Zdawało się, jakby czuły pewien rodzaj niezdrowej zazdrości, jakby celem ich było, trzymając się w pozycyi „comme il faut" popróbować choć trochę owej swobody kobiety „niezależnej".

Książę Titiane, jak to już nadmieniłem, był duszą tych rozmów, w których niezmierne upodobanie miała hrabina. On także wpadł na „szczęśliwy pomysł" nadawania przezwisk bliższym przyjaciółkom hrabiny. Jedną nazwał „Wenus z marchwi", robiąc tem aluzyę do jej piękności i rudych włosów, drugą: „jedwabną skórą" z powodu cery, trzecią „Wielką księżną" z powodu wzrostu i tytułu. Co w tem było najdziwniejszego dla mnie to to, że kobiety przyjmowały te nazwiska i same między sobą przezywały się niemi, w końcu nawet małe dzienniczki napomykały już o nich.

Książę Titiane rozporządzał się tak samo u hrabiny, decydował o wszystkiem, udzielał pochwały i nagany według tego co w swem narzeczu oznaczał sakramentalnemi słowami: „To jest szyk!" albo: „To nie jest szyk!".

Dla hrabiny obecność moja była powodem ciągłej irytacyi. Sama sobie ustanowiła dozorcę, niemego mentora, którego milczenie jednak rozumiała.

Ona! tak niezależna! przywykła we wszystkiem spełniać swą wolę, przywykła do tego by nie zdawać nikomu sprawy ze swych czynności, przez nikogo nie być krytykowaną, znajdowała się pod okiem swego kochanka, który, w jej fałszywem przekonaniu, był prawie jej sługą.

Sądziłem, że będę mógł żyć z nią na stopie ukrywanej zażyłości, tego pewnie odrazu zażądałby każdy zręczniejszy odemnie, a nie tak skrupulatny. Ale ja czekałem na sposobność po temu. Tymczasem hrabina tak wszystko układała, a było jej to łatwem, gdyż przeszło trzydzieści osób było w jej domu, by zawsze ktoś trzeci był pomiędzy nami.

Albo też udawała, że jest cierpiącą. Długo nie chciałem tego zrozumieć, a gdym zrozumiał — było już zapóźno! Hrabina powzięła już postanowienie. Czuła, iż popełniła błąd, przyjmując mnie do swego domu i przemyśliwała nad tem tylko, jakby się mnie pozbyć.

LXI.

Postanowiła wyprawić mnie do mego ojca — ale do tego potrzebny był pretekst. Sądziła, że go znajdzie w przybyciu swego męża.

Już upłynęło dwa lata od czasu, jak hrabia widział się ze swą żoną. Nie domyślałem się nawet, że spodziewano się go. Dopiero, gdym zauważył, iż w domu hrabiny wszystko powraca do niejakiego powierzchownego porządku, że wszyscy idą spać wcześniej, wstają również, że przyjmuje się mniej mężczyzn, że rozmowy są mniej bezsensowne, ubrania nie tak ekscentryczne, wtedy dopiero począłem wypytywać się i powiedziano mi, że hrabia opuścił już Egipt i zamierza przepędzić kilka miesięcy u siebie w domu.

Mąż ten, którego znałem wówczas tylko z tego co żonie podobało się powiedzieć o nim, prawdę mówiąc, we mnie wzbudzał nie wiele szacunku i sympatyi. W mojem uprzedzeniu interesownem, mogłem go jeszcze poniekąd uniewinnić, że żyje zdala od żony, ale niepodobna mi było przebaczyć mu, że pozbawia swej obecności własne swe dzieci.

Widziałem go przy obiedzie, w dzień przybycia. Był to człowiek mogący mieć około trzydziestu pięciu lat, twarzy smutnej, ale obejścia wielce dystyngowanego. W oczach miał wyraz melancholii i rezygnacyi. Wypieczone na wychudłej twarzy rumieńce świadczyły, iż się jeszcze nie pozbył w zupełności choroby, której pierwsze objawy ukazały się wkrótce po ożenieniu.

Co mi się zwłaszcza podobało w nim, to dystynkcya, wyborowe wyrażanie się, wzniosłość umysłu. Wszystkiem tem górował on niezmiernie ponad mężczyznami, jakich zawsze widywałem u hrabiny.

Ona sama czuła się zażenowaną w obecności swego męża. Ona... taka samowolna! Spoglądała na niego z pewnym rodzajem uległości, co z jej strony było bardzo dziwnem. Gdy mąż mówił, słuchała go z szacunkiem, jakiego o ile wiem, nie okazywała nikomu ze znajomych. Hrabia zachowywał się z nią zupełnie tak, jak każdy dobrze wychowany człowiek z jakąkolwiek kobietą — ale, ani wzrokiem, ani żadnem słowem, ani owymi, szczególnymi względami, tak naturalnymi w obejściu się z osobą, którą się kocha, nie okazywał hrabia, że poczytuje ją za swoją żonę. Widocznie coś musiało zajść pomiędzy nimi, coś bardzo ważnego, coś... nie do przebaczenia... o czem nie wiedziałem.

Podczas obiadu hrabia nie wiele mówił ze mną. Było nas dziesięć osób przy stole, sami ludzie poważni. A zatem nie było tam księcia Titiane. Hrabia mówił o swych podróżach. Nie śmiałem przerywać mu; zajmował mnie i mówiąc prawdę, imponował mi.

Ale, powróciwszy do siebie byłem zachwycony, gdym sobie przypomniał zakłopotanie hrabiny.

(Ciąg dalszy nastąpi)

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

ROZDZIAŁ I.

— Więc kiedyż będę mógł przynieść te skrypta?

— Choćby jutro...

— Tak, mniej więcej o tej porze! nad wieczorem?

— Tak jest...

— A pani będzie tak łaskawą przejrzeć je, skontrolować?...

— Naturalnie... bardzo chętnie...

— W imieniu wszystkich słuchaczy wykładów pani — pozwalam sobie wyrazić podziękowanie...

I młody brunet skłonił swoją śmigłą, zgrabną postać w pełnym wdzięku i uszanowania ukłonie.

Dr Pelagia Wyrobkówna, laureatka wielu nagród naukowych, profesor zwyczajny katedry fizyki, chluba wojującego feminizmu — podniosła zmęczone, wypłowiałe oczy z ponad leżącej przed nią książki... Po krótkiej chwili pożółkłe, z sinawą obwódką powieki opadły znowu, jakby uderzone blaskiem spojrzenia czarnych źrenic, które miały w sobie promienność słońca, miękkość aksamitu i ogień młodości... Ale zaraz podniosły się szybko... Dr Wyrobkówna nie odrywała już wzroku od ślicznego, czarnowłosego chłopaka osmagłej, zuchowatej twarzy...

— Jaki piękny!... — przesunęło się jej przez myśl — Jaki cudownie piękny!... I głos ma dziwnie miły!... i uśmiech!...

W płaskiej piersi pod surową czarną tkaniną coś się zatrzepotało — nieśmiało wprawdzie, ale wyraźnie...

— Czemu pan nie siada, panie Rawski?... Proszę pana bardzo... niech pan spocznie...

— Dziękuję... ja doprawdy nie chciałbym pani zabierać dużo czasu... wiem, że to czas tak cenny... — wyrzekł młody akademik z widocznem zakłopotaniem.

— O!... — uśmiechnęła się blado dr. Wyrobkówna — może znowu nie tak cenny, jakby się zdawać mogło... Niechże pan spocznie... porozmawiamy...

Rawski usiadł na skraju ofiarowanego mu krzesła, ale znać było po nim, że czuje się nieswojo...

— O czem ona chce mówić ze mną?... — myślał — może odgadła, że ja tych jej wykładów o teoryi Einsteina to ani w ząb... Wogóle rozmowy z profesorami nie należą do przyjemności, ale już profesor kobieta...

Przez kilkadziesiąt sekund panowało kłopotliwe milczenie.

— Jak panu na imię, panie Rawski? — zapytała Wyrobkówna, sama zaskoczona tem pytaniem, które wyrwało się jej z ust zupełnie niezależnie od świadomej woli.

— Feliks... — (po dyabła jej wiedzieć jak mi na imię!...)

— Feliks... Szczęsny... szczęśliwy... śliczne imię... i czy prorocze?...

Rawski kręcił się niespojnie na krześle...

— Bo ja wiem, proszę pani... (czego ona się tak patrzy na mnie!... ani chybi, zerżnie mnie przy egzaminie!...)

— A ile pan ma lat?

— Dwadzieścia dwa... (ależ to istna indagacya... czuję się, jakbym był u sędziego śledczego!)

— Dwadzieścia dwa... — powtórzyła w zadumie — najpiękniejszy wiek...

— Najpiękniejszy i nie najpiękniejszy... wolałbym już być starszym i mieć egzamina uniwersyteckie poza sobą!... (szczególnie tę przeklętą fizykę!...)

Kiedy mówił, wargi jego pełne, czerwone pod ciemnym puszkiem wysypującego się wąsa układały się miękko, niemal pieszczotliwie. Laureatka tylu nagród europejskich, autorka dzieł, przed któremi schylali głowy najwybitniejsi uczeni cywilizowanego świata, patrzyła i patrzyła na te słodkie usta młodzieńcze i napatrzyć się nie mogła...

— Zdąży pan jeszcze na czas... — wymówiła jak w półśnie.

— Kiedy mnie zależy na jak najszybszem uzyskaniu dyplomu... (zdąży pan na czas!... ona sobie najwyraźniej drwi ze mnie!.. No, żeby to nie była dr. Wyrobkówna, powiedziałbym babie parę słów!)

— Czyż dyplom to szczęście?...

— Zapewne, że nie szczęście, ale zawsze potrzebny!... Pani, która osiągnęła taką sławę, takie stanowisko — zrozumie to przecież najlepiej... (myślę, żem jej dobrze odpowiedział!...)

— Ach! panie Feliksie, gdyby pan wiedział... — urwała nagle, zrozumiawszy, że chce powiedzieć o wiele, o wiele za dużo.

Za otwartem oknem parterowego mieszkania, wychodzącem na ogród, powiał silniejszy wiatr. Zgięły się, obciążone liliowem pachnącem kwieciem gałęzie bzowego krzewu i jedna kiść bzu liliowo-różowa, zroszona wilgocią majowego zmierzchu, wpadła na parapet okna, niby rzucona jakąś niewidzialną ręką.

— Śliczny bez — wyrzekł mimowoli Rawski i zaraz zmieszał się ogromnie, bo mu się wydało, że palnął straszne głupstwo... Z dr. Wyrobkówną zaczynać rozmowę o bzie!...

Ona sięgnęła szybko po upojnie pachnący kwiat...

— Proszę bardzo... niech pan tę gałązkę przypnie do ubrania... To będzie bardzo ładnie.. — a oczy jej ożywione nagle, rozbłysłe, zachwycone mówiły: tobie we wszystkiem ładnie...

Rawski tego niemego komplementu nie zrozumiał, ale podaną mu gałązkę umocował u klapy jasnej marynarki i kłaniając się, znowu rzekł:

— Doprawdy, nie wiem, jak mam podziękować... (jak to opowiem Antkowi i Władkowi, to wierzyć nie będą chcieli!... e!... ona mnie chyba nie spali przy egzaminie... choć dyabli wiedzą, co tam w takiej mądrej kobiecie siedzi!... stanowczo już wolę profesorów mężczyzn, nawet starego Bolesławicza!... spali, to spali!... ale przynajmniej wiadomo, jak z nim gadać!...)

Dr Pelagia Wyrobkówna czuła nieprzepartą potrzebę powiedzenia temu cudnemu chłopcu czegoś bardzo miłego, bardzo intymnego, czegoś, coby płynęło z najtajniejszej głębi serca... Ale ona w całem życiu swoiem słów takich nie wymawiała i teraz odrazu znaleźć odpowiednie było jej bardzo trudno... Zanim znalazła, upłynęła przeszło minuta, a zegar, piękny, kosztowny, artystyczny zegar, dar grona profesorskiego dla znakomitej koleżanki — wydzwonił godzinę siódmą.

Rawski zerwał się, jakby podrzucony jakąś sprężyną do góry.

— Siódma!... — zawołał — pani daruje... ale na mnie czas najwyższy!... (tam do licha!... spóźniłem się!... Hela mi oczy wydrapie!... zaraz powie, że miałem jakąś inną randkę...)

— Pan odchodzi? A możeby pan zechciał zostać u mnie na herbacie?...

— Zostać?... to jest... dziękuję... tyle zaszczytu... uprzejmości... nie wiem, jak mam dziękować.. — plątał się (psiakrew!... odmówię — to egzamin fajt!... a zostanę, to Hela... A bodaj to, co tu robić!..)

— Więc zostaje pan? — dr. Wyrobkówna wyciągnęła rękę do dzwonka elektrycznego, aby zadzwonić na służącą.

W tej chwili wizya rozgniewanej Heli stała się nad wyraz plastyczną. W dodatku Rawski uprzytomnił sobie, że jego najserdeczniejszy przyjaciel Antek Krabicz gotów wyzyskać ten moment nieporozumienia na swoją korzyść...

— Antek tylko czyha, żeby mi Helę zbuntować!... A niedoczekanie jego!... Co tam egzamin!... Było nie było!... trzeba zmykać!...

I z całą odwagą desperacką oświadczył:

Przepraszam bardzo... jutro... pojutrze... to najchętniej... z najwyższą wdzięcznością przyjmę tak miłe zaproszenie, ale teraz odejść muszę, bo... bo właśnie dzisiaj moja ciotka... ogromnie kochana ciotka... wyjeżdża za granicę na czas nieograniczony... a zatem...

Ach! tak... trudno... więc czekam na pana — jutro!...

Wyciągnęła do niego rękę, a on przez mgnienie oka zastanawiał się, co począć (co z tym fantem zrobić?!... Pocałować w rękę, jak każdą poważną kobietę?... ależ profesorów uniwersytetu nie całuje się po rękach — przynajmniej słuchacze!... E! bo też to z takimi babskimi profesorami.. buchnę w mankiet i koniec...)

Wyrobkówna poczuła, że przebiegł ją rozkoszny, gorący dreszcz, gdy świeże, ciepłe usta chłopca dotknęły jej ręki... A gdy w chwilę potem Rawski znikł za drzwiami, wydało jej się, że to mieszkanie, w którem spędziła i przepracowała kilkanaście lat życia — jest dziwnie puste, mroczne, duszne... Czegoś podobnego nie doświadczała nigdy dawniej. Przeciwnie, czuła się tu tak dobrze w tych pokojach umeblowanych z poważną ale wykwintną prostotą, wśród tych szaf pełnych wielkich, w skórę oprawnych tomów, wśród tych przyrządów naukowych, stanowiących treść jej życia... Dlaczego jej tak nagle to wszystko zbrzydło?... I taka jakaś niezrozumiała tęsknota... ta nieodparta chęć, żeby on powrócił... On — ten chłopiec o czarnych, palących oczach...

— Chora jestem, czy co?... Co to się ze mną dzieje...

Przysunęła bliżej ku sobie najnowszą broszurę, omawiającą stosunek teoryi Kopernika do teoryi Einsteina i usiłowała czytać... Bardzo szybko skonstatowała, że ją w tej chwili Einstein razem ze swoją teoryą względności nic a nic nie nie obchodzi i że z każdego słowa, z każdej litery spoglądają na nią czarne, ogniste oczy, uśmiechają się do niej pieszczotliwie, przesłodkie, purpurowe, młodzieńcze usta...

I zdenerwowana, rzuciła książkę na dywan i kopnęła rozsypujące się kartki nieoprawnej broszury... I obejrzała się wokół, szukając lustra... Prawda, zapomniała, że w mieszkaniu jej jedno tylko znajduje się lustro — w sypialni... Tak rzadko się zresztą w tej tafli zwierciadlanej przeglądała, czesząc się i zbierając zwykle „na pamięć". Teraz jednak nie mogła oprzeć się chętce obejrzenia odbicia swej postaci w lustrze. Przeszła do sypialni i zaświeciła żyrandol elektryczny, zapuściwszy wprzód story, aby światło umierającego dnia nie mieszało się z białym blaskiem elektryczności... Potem przez długą chwilę przypatrywała się sobie bardzo uważnie... Studyowała niemal każdy szczegół swej twarzy i figury... Ale lustracya ta nie wypadła zbyt pomyślnie... Bezlitosne zwierciadło odbijało jak najdokładniej i żółtość cery i sieci zmarszczek i zwiędłe bezbarwne wargi i spłowiałe oczy i pasma siwe wśród włosów nieokreślonego koloru, twardych i bez połysku...

— Stara jestem... tak stara... Choć, ile ja to mam lat?... Doprawdy — to już tyle?... E! chyba ja źle liczę... Tak, tak, może się zdarzyć, że doktór nauk fizycznych i matematycznych źle obliczy swoje lata... A gdyby nawet... toż jeszcze inaczej wyglądać powinnam.. O! gdyby tak odmłodnieć można!...

Zgasiła światło i powróciła na swe poprzednie miejsce do stolika przy oknie... Pachnący coraz mocniej bzami ogród, pogrążył się w ciemną toń zmierzchu, gdzieś na skraju nieba ukazało się już nawet kilka pierwszych gwiazd.

Pelagia Wyrobkówna nie zapalała światła, nie brała się do czytania, do pracy, ale wbrew swym nawyknieniom, podparłszy leniwie głowę ręką — marzyła... Tak... marzyła, jak najpospolitsza śmiertelniczka, i to nie o nowych laurach na polu pracy naukowej, nie o wiekopomnych wynalazkach, nie o sławie światowej, nie o Koperniku ani o Newtonie, ani o Einsteinie, ale o pięknym chłopcu, co ma czarne oczy i gorące usta i który z pewnością kochać umie — ach! jak umie...

— Gdybym mogła odzyskać jeszcze raz moją młodość — inaczejbym żyła... Bo ja właściwie nigdy młodą nie byłam... I nikt mnie nie kochał... Nie znam pocałunków miłości... Sama praca... nauka... Zamiast sali balowej — pracownia fizykalna... zamiast szeptów miłosnych — monotonny głos starego profesora, mistrza i przewodnika... A jednak zdaje mi się, że kiedy miałam lat ośmnaście, byłam wcale przystojną... Gdyby to powrócić mogło!... O! Feliksie!... Feliksie!...

Drzwi skrzypnęły lekko... Przekręcono kontakt i fala światła zalała pokój... Dr. Wyrobkówna drgnęła jakby ze snu zbudzona i ujrzała przed sobą swoją służącą Hankę.

— Ach! to ty, Haniu?.. Dlaczego bez zapytania zapalasz światło?

— Przepraszam, nie wiedziałam, że pani profesor siedzi tutaj po ciemku i myślałam, że w pokoju niema nikogo — tłómaczyła się dziewczyna — chciałam właśnie zapytać, czy mogę podać już herbatę?

— Herbatę!... Nie teraz jeszcze... później...

— A kiedy?... Czy bardzo późno.... bo to proszę pani profesora... — bąknęła Hanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Czas najwyższy, aby pomyśleć o żałosnych rozmyślaniach wielkopostnych, skoro w następnym numerze trzeba będzie wystąpić z życzeniami z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych. Ani się oglądnęliśmy, niejeden z nas nie skosztował nawet śledzia, a sześć tygodni wielkiego postu przeszło jak z bicza strzelił. Pozostało po nich tylko wspomnienie, bardzo różniące się od podobnych z lat przedwojennych.

Ojcowie i dziadowie nasi obserwowali bardzo ściśle wielki post, umartwiając w różny sposób swe grzeszne ciało, posypywali głowy popiołem, ubierali się we włosienice, głodzili się, byle tylko oczyścić swe dusze z karnawałowych pozostałości i zarobić sobie na żywot wieczny. My jesteśmy w tem miłem położeniu, że, dzięki powojennym stosunkom, pościmy rok cały, nie będąc w stanie uraczyć się należycie nawet magistrackim chlebem powszednim, ubrania nasze przypominają ogromnie dawniejsze włosienice, co się zaś tyczy posypywania głów popiołem, to na taki zbytek pozwolić sobie może chyba lichwiarz lub paskarz, który był w tem przyjemnem położeniu, że mógł palić w swym piecu, gdy natomiast znaczna liczba ludności, zwłaszcza zaś umysłowo pracujące jej sfery, skazana była na grzanie się przedwojennemi wspomnieniami i „Opowieściami Hoffmana" o piecu, w którym się kiedyś paliło. Narzekaliśmy na swoją dolę, bo mieliśmy powód do tego, ale też powinniśmy się i cieszyć, gdyż w ten sposób, nawet nie wiedząc o tem, zapewniliśmy sobie zbawienie wieczne. Niema zatem złego, aby na dobre nie wyszło, nie narzekajmy więc na lichwiarzy i paskarzy, gdyż oni ułatwili nam tylko wielkopostne praktyki.

Umartwiając ciało, będące tylko futerałem, w którym tkwi duch, umartwia się tem samem i tego biedaka, kronikarz poszedł przecież jeszcze dalej i w tym celu przez cały przeciąg wielkiego postu odczytywał z całem nabożeństwem wszystkie krakowskie organy, bez względu na zapatrywania polityczne, i to od deski do deski, t. j. od artykułu wstępnego począwszy, a na ogłoszeniach skończywszy, z wyjątkiem oczywiście matrymonialnych, gdyż na to Weronika patrzy niechętnem okiem, posądzając go o niewierność. Niesłusznie czyni, kto się bowiem na gorącem sparzył, ten potem na zimne dmucha, jeśli się zatem przebyło względnie szczęśliwie okres trzydziestoletniej wojny domowej, wyklucza to w zupełności podejrzenie, aby się miało ochotę w danym wypadku kłaść zdrową głowę pod ewangelię, zwłaszcza jeśli się wie, że recydywa niebezpieczniejszą bywa zwykle od pierwszej słabości. A czy jej Weronika na imię, czy też inne na chrzcie świętym nadano jej miano, wszystkie one jednakie i chyba niema głupich, by się pchać z deszczu pod rynnę.

Otóż, wczytując się w najrozmaitsze artykuły treści politycznej, ekonomicznej i t. d. umartwił kronikarz przy tej sposobności także i swojego ducha, stanął bowiem wobec problemów, trudniejszych do rozwiązania, niż *perpetuum mobile* lub kwadratura koła. I tak naprzykład dowiedział się z jednej z kronikarskich notatek, że w Krakowie okradziono niejakiego Kwika, z zawodu cygana. Z nabytych jeszcze w szkole wiadomości pozostało mu tyle w pamięci, że Cygan, to narodowość, jakie zaś cecharakterystyczne ma cygański zawód, o tem mógłby powiedzieć chyba sam autor tej notatki. Wiemy wprawdzie, że można być Szwajcarem z pochodzenia, ale także i z zawodu, gdyż tak nazywa się u nas eleganckich odźwiernych, mogliśmy zatem zastosować to samo i do wyrażenia „cygan", t. j. wytłómaczyć sobie, że ów pan Kwik „cyganił ludzi", co jest dziś bardzo w modzie i nazywa się w nowoczesnym słowniku paskarstwem lub lichwiarstwem. Jeśli tak rozumował autor notatki, w takim razie na to zgoda.

W innem znów piśmie, skoro mowa o paskarzach, spotkaliśmy się z projektem, aby celem przełamania zachłanności naszych kupców mniejszych i większych i zmuszenia ich do oględniejszego kalkulowania cen, wstrzymać się bodajby przez tydzień od czynienia wszelkich zakupów, a wówczas rura im zmięknie. Ale autor owego projektu nie zastanowił się widać nad tem, że dotychczas nie nauczyliśmy się jeszcze obchodzić bez jedzenia, kto zatem chciałby pójść za jego radą, musiałby się postarać przedtem o poczynienie pewnych zapasów, aby się uchronić od głodowej śmierci. Na tem wyszliby zatem dobrze tylko właśnie owi kupcy paskarze, sprzedając raz na tydzień w większej ilości swe towary, oczywiście po jeszcze wyższych cenach, skoro zapotrzebowanie jest większe, potem zaś mogliby zupełnie spokojnie wypoczywać przez cały tydzień, czekając na drugi termin zakupna.

Przeczytawszy manifest „Mścicieli" z Łodzi, który pod grozą najrozmaitszych okropności, jakie stosowane będą wobec ciemiężycieli ludzkości, podnoszących i podbijających ceny, wzywają ich aby w przeciągu od 1. marca obniżali ceny swych artykułów co dziesięć dni o dwadzieścia pięć procent, sądzimy, że byłoby bardzo praktycznem i wskazanem wstrzymać się przez dni czterdzieści od czynienia wszelkich zakupów potem sytuacya będzie o tyle ułatwiona, że otrzyma się wszystko gratis, bo cztery razy po dwadzieścia pięć procent, to razem sto, czyli, że jeśli coś kosztowało tysiąc marek, po czterdziestu dniach spadnie do zera. Panowie paskarze i lichwiarze żywnościowi z podobnych odezw robią sobie niewiele, nie przerażają ich anonimowi „Mściciele", skoro nie boją się wcale nie tylko prokuratora, ale nawet nadzwyczajnego komisarza do walki z drożyzną, który chciałby może zdławić smoka ale na to nie pozwalają mu jego właśni mocodawcy, przystrzygający mu ustawicznie skrzydła, aby zbyt wysoko nie bujał. Znane jest łacińskie przysłowie: *„Bis dat qui cito dat"* Na walkę z drożyzną asygnowano miliardy, prawo do rozporządzania nimi ma jeneralny komisarz, obdzielił też rozmaite współdzielnie, ale gdy przyszło do wypłaty, pokazało się, że każdy większy kredyt musi przedtem uzyskać aprobatę ministerstwa skarbu, t. j. odleżeć się należycie, długo na biurkach różnych referentów, gdy tymczasem ceny mogły pójść w górę.

A nasi panowie kupcy kalkulują w dalszym ciągu ceny w myśl zapowiedzi sfer kierujących, że sanacyi stosunków spodziewać się można nie wcześniej, jak za trzy lata, czyli, że do tego czasu nasza marka będzie mogła spokojnie dalej tracić swą wartość, a oni nabijać milionami swe kieszenie. Jeśli który z nich ma zamiar zaopatrzyć się w nowy zapas towarów dajmy na to w miesiącu sierpniu, już dzisiaj posiadane towary sprzedaje po cenach takich, jakie być mogą w sierpniu, przy spadku marki w tem tempie, jak dotychczasowe.

Gdy jednego z nich zapytywaliśmy się na jakich danych opiera swe kalkulacyjne przewidywania, odpowiedział, że informował się w tym kierunku w... Obserwatoryum astronomicznem!

— I cóż panu tam powiedziano?... — zapytaliśmy.

— Że na sierpień można się spodziewać bardzo obfitego spadania gwiazd!... — odpowiedział — A skoro będą gwiazdy spadać, oczywiście nie pozostanie za niemi w tyle także i nasza marka, mająca stale z czemś łączność jeśli nie z dolarami, to z frankami, nie jest zatem wykluczone, że mogą na nią mieć wpływ i gwiazdy, zwłaszcza że wprowadzono ją do nas pod gwiazdą dość nieszczęśliwą...

Jedynym sposobem na poskromienie paskarzy i lichwiarzy byłoby absolutne wstrzymanie się od jedzenia i picia przez ogół cały i to na czas dłuższy. Ale to się przeprowadzić nie da, gdyż nie nabyliśmy dotąd dość wprawy w głodowaniu, pozatem nie ulega kwestyi że znalazłyby się jednostki wyłamujące się z pod ogólnej solidarności, a to właśnie sami paskarze i lichwiarze, za których płacą wszystko ich odbiorcy.

Nie damy im zatem rady, z którejkolwiek chcielibyśmy ich ostrzeliwać strony, bo oni, zbyt pewni siebie, śmieją się z nas w kułak, wychodząc z założenia bardzo praktycznego: „Gadajcie sobie, co wam ślina na język przyniesie, my zaś będziemy robić swoje, a rezultat pokaże, kto wyjdzie na tem lepiej!..."

A na niego czekać nie trzeba długo, widoczny jest już dzisiaj. Nasze gadania powodują tylko silniejsze wiatry, a oni tuczą się do tego stopnia, iż ich grzeszne cielska nie chcą się już zmieścić w ubraniach, choćby nawet przed pół rokiem dopiero sprawionych.

Ale Polska jest krajem praworządnym i wysoce zdemokratyzowanym. Praworządność polega przedewszystkiem na tem, że wozy na drogach mają się wymijać na prawo, demokratyzacya zaś na zniesieniu klas tramwajowych i zrównaniu w ten sposób wszystkich stanów. Ponadto zyskał sobie u nas prawo obywatelstwa tak zwany „chłopski rozum", opierający się na tej zasadzie, że obowiązkiem każdego jest starać się to, aby jemu samemu było jak najlepiej choćby nawet mieli ucierpieć na tem inni, ale broń Boże, swojego ruszyć nie pozwolić. Kto się kieruje temi zasadami, temu jest dobrze, niczego mu nie brakuje, zazdroszczą mu ludzie, a, choć klną pocichu na niego, przecież kłaniają się mu nisko na ulicy, a on sunie z powagą, niczem chiński mandaryn o pawiem piórze.

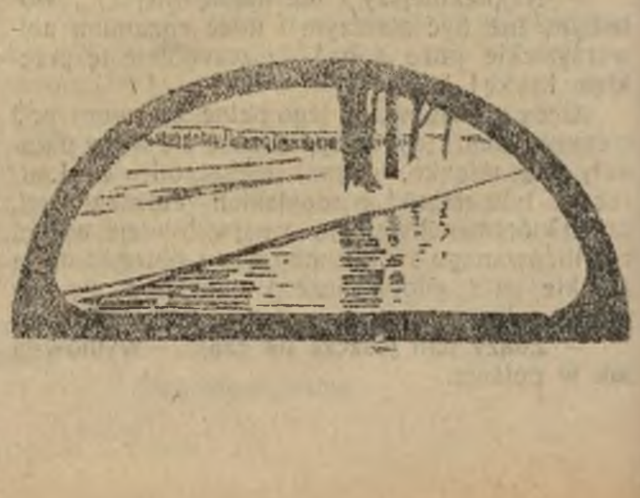
Przy czytaniu pism dotknęła nas bardzo boleśnie notatka o liczebnej mniejszości rodzaju męskiego na obszarach Polski. Według obliczeń ostatniego spisu ludności pokazuje się, że na sto osób płci męskiej przypada sto siedm kobiet, czyli, że gdybym nawet u nas zamiast reformy agrarnej wprowadzono na wzór Turcyi przymusowe małżeństwa, siedm niewiast na sto skazanych jest na staropanieństwo. Nic dobrego to nam nie zapowiada, te bowiem siedm zawiedzionych stać się mogą fermentem, wprowadzającym chaos i dezorganizacyę w nasze szeregi, gdy nam potrzeba ładu i porządku. Historya angielskich sufrażystek mówi sama za siebie, nic też dziwnego, że nawet Mussolini, który rozgromił włoskich komunistów i socyalistów, wobec niewiast, chcących się gwałtownie wygadać z trybuny parlamentarnej, okazał się dość ustępliwy, choć z góry zapowiedział im, iż niema się z czem spieszyć, bo się nie pali.

Radości naszej czerwonej prasy, że książę biskup Sapieha zrzekł się mandatu senackiego, bynajmniej się nie dziwimy. Tak arcykatolickie pismo, jak *Naprzód* musi się cieszyć, że wola rzymskiej Kuryi została poszanowaną.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się z ust jednego z głównych menerów partyi socyalistycznej, że jest on wyznawcą teoryi dwuosobowości, bo biskupa Sapiehę osobiście bardzo ceni i poważa, jak sam twierdzi, zwalcza zaś jedynie „senatora Sapiehę". Odtąd wybite szyby w pałacu biskupim nazywać się mają „senatorskiemi".

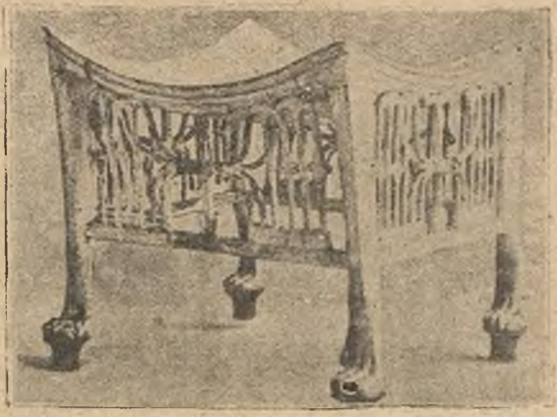
Ci sami, którzy w ten sposób odnoszą się do swych politycznych przeciwników, zupełnie inaczej postępują wobec swoich. Nie rozróżniają tam dwuosobowości, przeciwnie, jeśli tego zachodzi potrzeba, nie widzą i nie słyszą, a tembardziej nic nie mówią i nic nie piszą. Zdarzył się naprzykład wypadek pod okiem pewnego lekarza w spódnicy, że po operacyi pozostawiono jednej z pacyentek w jamie brzusznej w pospiechu kawał nieprzemakalnej ceratki. Operacya się udała, pacyentka powiększyła grono aniołków, ale *Naprzód* ani słowem o tem nie wspomniał, gdyż względy wyższej polityki tak nakazywały!... Gdyby jednak mąż owej pani doktora należał był do zwolenników ósemki bylibyśmy się niezawodnie dowiedzieli ładnych rzeczy o nieporządkach, jakie panują w naszych szpitalach.

Tematów do żałosnych rozmyśleń nie brakło zatem, nie można jednak ich wszystkich poruszyć ze względu, iż miejsce, przeznaczone na kronikę, na to nie pozwala.





Dookoła światowej senzacyi: Ozdobna skrzynia, znaleziona w grobowcu Tutankhamona.



Dookoła światowej senzacyi: Taboret rzeźbiony z grobowca Tutankhamona.

polskiego na Uniwersytecie w Pradze, obecnie zaś wykłada literaturę czeską w Warszawie.

Do Krakowa przybył prof. Czerny na zaproszenie Związku Literatów, a prelekcye znakomitego uczonego, które tak życzliwie przyjęto w Warszawie, Wilnie i Poznaniu i wśród naszych sfer kulturalnych spotkały się z należytem uznaniem i oceną.

Nasz miły gość, szczery zwolennik kierunku, zainicyowanego przez ś. p. Edwarda Jelinka, jest osobistością w Polsce dobrze już znaną i wszędzie sympatycznie witaną, jest on członkiem Polskiej Akademii Umiejętności i wielu stowarzyszeń naszych literackich i społecznych.

Najazd litewski na Kłajpedę.

W sprawie Kłajpedy Polska poniosła niewątpliwie porażkę, ale nie wszystko jest jeszcze stracone. Jak wiadomo, Koalicya przyznała Litwie prawo suwerenne w Kłajpedzie, ale pod warunkiem, że zawrze z Polską w Paryżu układ, gwarantujący jej specyalne przywileje w tym porcie. Litwini jednak nie czekali na zawarcie tego układu i odrazu objęli Kłajpedę w posiadanie i posłali tam swoje wojska. Był to z ich strony nowy gwałt, obliczony na to, aby nie dotrzymać warunku, pod jakim jedynie Koalicya przyznała Litwie Kłajpedę. Te wyrachowania jednak zawiodły. Prezesa litewskich ministrów Galwanauskasa odwiedzili w Kownie przedstawiciele Francyi i Anglii i zażądali ustnych wyjaśnień w tym kierunku, czy Litwa przyjmie warunki, postawione jej przez ententę w związku ze sprawą Kłajpedy i czy wyśle delegatów w celu podpisania odnośnej konwencyi. Przedstawiciele Koalicyi zakomunikowali Galwanauskasowi, że mocarstwa sojusznicze uważają postawione warunki jako ostateczne. Jedynie na zasadzie tych warunków może nastąpić oddanie Kłajpedy Litwie.

Na takie ultimatum zapewniono przedstawicieli Koalicyi w Kownie, że celem podpisania konwencyi kłajpedzkiej Litwa wyśle delegacyę do Paryża. Ażeby jednak to zapewnienie nie było tylko czczą obietnicą, może nad tem czuwać Polska. Obowiązkiem dyplomacyi polskiej jest przypilnować, aby sprawa konwencyi kłajpedzkiej nie poszła w „zapomnienie". Jest to tem bardziej konieczne, że Litwa działa tu w porozumieniu z Niemcami, a w samej Kłajpedzie, jak donoszą miejscowe pisma, toczą układy między Litwinami i Niemcami celem ustalenia wspólnej linii politycznej — rzecz prosta antipolskiej i antifrancuskiej. Taką „konwencyę" przygotowują Litwini i Niemcy. Tym knowaniom Polska musi przeciwstawić swe prawa w Kłajpedzie, zagwarantowane nam przez mocarstwa Koalicyi.

Dookoła światowej senzacyi.

Wiadomo, że istnieją ludzie, wierzący w reinkarnacyę duszy ludzkiej, czyli w kolejne jej odradzanie się po śmierci w ciele ludzkiem. Wiara ta liczy sporo wyznawców, a nawet w Polsce wielu z nich żyje czerpiąc podstawy takiej wiary z pism naszych wieszczów, szczególnie Juliusza Słowackiego. Otóż obecnie donoszą pisma amerykańskie, że pani Rockefeller Mac Cormick, rozwiedziona żona miliardera amerykańskiego Harrisa Mac Cormicka, oznajmiła na ostatniem posiedzeniu nowojorskiego towarzystwa badań psychicznych, że czuje, iż jest reinkarnacyą pierwszej żony Faraona Tutankhamona.

„Od dawna już — mówi pani Rockefeller — miałam przeczucie, że nie po raz pierwszy żyję na świecie. Często zdarza się mi, że patrzę na świat i ludzi — jak na rzeczy dawno widziane, w innem świetle i w innem otoczeniu. Teraz, kiedy pokazano mi fotel Tutankhamona, cała prze-



Tryumf polityki Kemala baszy: Mustafa Kemal basza z swą młodą małżonką, Latofée Hanoum.



Dookoła światowej senzacyi: Jedna z symbolicznych figur, pełniących straż u grobu Tutankhamona.





Tryumf polityki Kemala baszy:
Ismet basza wraz z członkami delegacyi tureckiej na konferencyę w Lozannie. Dzieci szkolne w Eski-Cheir, zgromadzone na dworcu kolejowym na powitanie Mustafy Kemala baszy.

szłość, a właściwie przeszłe życie moje żywo stanęło mi przed oczyma. Pamiętam wyraźnie moją pierwszą ojczyznę — Egipt; pamiętam dzień, w którym jako 16-letnia dziewczyna zostałam poślubiona Faraonowi. Żyliśmy ze sobą dwa lata — umarłam nagle, opłakiwana przez króla i dwór. Włosy znalezione w grobowcu Faraona nie należą do mnie, ale do jego drugiej małżonki".

Pani Rockefeller Mac Cormik oddawna interesowała się wiedzą tajemną, wiele jest jednak prawdy w jej fantastycznem oświadczeniu, na razie nie przesądzamy, zamieszczając je jako dowód tego zainteresowania, jakie sprawa odkrytego grobu Faraona w Egipcie budzi w całym świecie. Wymownym tego przykładem jest przyjazd do miejsca wykopalisk królowej belgijskiej, którą widzimy na jednej z naszych illustracyi. Nadto zamieszczamy w niniejszym numerze kilka poszczególnych wykopalisk, jak figury, taborety, kufry i t. p., świadczących o niezwykłym wprost rozwoju przemysłu i sztuki, t. j. pracy rąk ludzkich w starożytnym Egipcie.

Tryumf polityki Kemala baszy.

Odrzucenie przez Zgromadzenie angorskie ułożonego w Lozannie traktatu, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze, nie oznacza bynajmniej zerwania z Koalicyą i ostrego zatargu. Zgromadzenie przyjmuje większą część artykułów traktatu, lecz żąda odroczenia do nieokreślonego terminu sprawy Mossulu i nie zgadza się na klauzule, co do obcych poddanych jako też co do finansowych i ekonomicznych koncesyi oraz przywilejów. Zgromadzenie jest zdania, że te klauzule ograniczają suwerenitet państwa i dlatego je odrzuca. Szuka atoli porozumienia z mocarstwami zachodniemi i życzy sobie wznowienia układów na powyższej zasadzie.

Uchwała Zgromadzenia jest niewątpliwie nową porażką Koalicyi, jako solidarnej całości. Już przed Lozanną, Angora okazała, że wcale jej nie uważa za panią świata i nie myśli poddawać się jej wyrokom.

To też Koalicya nie dyktowała jej swych decyzyi jak Niemcom, lecz zaprosiła na konferencyę i układała się z nią w spornych sprawach. Ale uprzednio doszła do porozumienia we własnem gronie i wobec delegacyi tureckiej występowała jako solidarna całość. Nie zdołała wszakże narzucić Turkom swych postanowień. Wiele punktów delegacya Ismeta przyjęła, lecz co do niektórych zacięła się w oporze. Daremnie w ostatniej chwili lord Curzon porobił jej znaczne ustępstwa, daremnie konferował z nią osobno przedstawiciel francuski Bompard. Delegacya angorska wyjechała z Lozanny bez podpisania traktatu i obecnie Zgromadzenie Narodowe udzieliło jej zupełnej aprobaty.

Jest bardzo wątpliwe, czy dojdzie do powtórnej konferencyi i do podpisania ogólnego traktatu, Angora bowiem dąży do tego, aby zamiast zbiorowych traktatów z całą Koalicyą zawrzeć odrębne umowy z danemi państwami. Jej dyplomacya zdaje sobie sprawę z rozbieżności dążeń w Koalicyi i z nieufności wzajemnej wśród sprzymierzeńców. Nie obawia się wyrzucenia po za nawias i wie, że może dojść do porozumienia z każdem mocarstwom oddzielnie.

Jeszcze podczas konferencyi rząd francuski oznajmił swemu angielskiemu sprzymierzeńcowi, że w razie niepowodzenia konferencyi zastrzega sobie prawo zawarcia z Turcyą odrębnego układu.

Zdaniem jego, znany traktat londyński z września 1914 roku, który zakazuje sprzymierzeńcom zawierania oddzielnego pokoju, nie stosuje się do danego wypadku, gdyż wojna z Turcyą zaczęła się w dwa miesiące później i nie pociągnęła za sobą nowego analogicznego zobowiązania uczestników Koalicyi.

Powyższe oznajmienie odbiło się pewnym zgrzytem w prasie angielskiej, która podejrzewała dyplomacyę francuską o podtrzymywanie oporu Turków na konferencyi. Z kolei lord Curzon manewrował w Lozannie tak, iż nie sprawa Mossulu, lecz raczej pewne tezy francuskie co do kapitulacyi i koncesyi spowodowały niepowodzenie konferencyi.

Trudno określić komu uchwała angorska sprawiła większą nieprzyjemność — Anglii czy Francyi, to wszakże pewne, że jest tryumfem polityki Kemala baszy i jego zwolenników, którzy nie przyjęli narzuconego Turcyi przez Koalicyę traktatu pokojowego i podniosły bunt przeciw zbyt uległemu sułtanowi, stworzyli militarną i moralną twierdzę wolnego państwa tureckiego w Angorze. Ten ryzykowny krok patryotów tureckich, który w razie niepowodzenia mógł drogo kosztować Turcyę,



Tryumf polityki Kemala baszy: Ludność Angory w oczekiwaniu na wynik pierwszego tajnego posiedzenia Zgromadzenia Narodowego w dniu 21. lutego b. r.

został jednak uwieńczony pomyślnym wynikiem, czego najlepszym dowodem była konferencya lozańska. Sam fakt bowiem jej zwołania świadczył bowiem, że mocarstwa zachodnie uznały Zgromadzenie Narodowe w Angorze jako jedyną suwerenną władzę w państwie otomańskiem.

Zgon wynalazcy „promieni X".

Wilhelm Konrad Roentgen urodził się 27-go marca 1845 r. w Lennep. Studya fizyczne skończył w Zurychu, gdzie został asystentem Kundta. Następnie pracował w Würzburgu, potem w Strasburgu, gdzie w r. 1874 habilitował się na docenta



Zgon wynalazcy „promieni X": Fizyk niemiecki, dr. Wilhelm Konrad Roentgen.

prywatnego. W r. 1875 został profesorem w Hohenheim, następnie nadzwyczajnym profesorem w Strasburgu, potem zwyczajnym profesorem i dyrektorem Instytutu Fizycznego w Giessen, a w 1899 w Monachium.

Z końcem r. 1895. dokonał Roentgen epokowego odkrycia promieni nazwanych od niego promieniami Roentgena. W doświadczeniach swych przy wyładowaniach elektrycznych w rozrzedzonem do najdalszych granic powietrzu odkrył promienie niewidzialne dla oka, mające zdolność przenikania ciał stałych nieprzeźroczystych. Promienie Roentgena znalazły bardzo liczne zastosowanie. Używa się ich w technice do rozróżniania drogich kamieni prawdziwych od nieprawdziwych i t. d. Najważniejsze jest jednak zastosowanie promieni Roentgena w medycynie do celów rozpoznawczych i leczniczych. Są one przedewszystkiem pomocne w rozpoznawaniu chirurgicznem. Na płycie fotograficznej dają bardzo jasne cienie miękkie części ciała, podczas gdy części zawierające powietrze, jak płuca i żołądek okazują się jako miejsca zupełnie jasne, kości zaś ciemne. Dzięki zastosowaniu promieni Roentgena można było w czasie wojny ustalić dokładnie położenie kul i odłamków pocisków w ciele. Medycyna wewnętrzna bada przy pomocy promieni Roentgena przedewszystkiem organa płucne i jamę brzuszną. Jasno widoczne są ogniska zapaleń i jamy ropne w płucach, nagromadzenia płynów i t. d. Podobnie widoczne jest i serce, jako otoczone płucami zawierającemi powietrze.

Terapia zapomocą promieni Roentgena polega na specyalnem wpływaniu ich na komórki. Silniejsze oświetlenie działa na rozwijające się komórki powstrzymująco, albo zabijająco. Bardzo czuła na promienie jest skóra. Zbyt silne oświetlenie wywołuje uporczywe opuchnięcia i zapalenie skóry, które w niektórych wypadkach kończyły się nawet śmiercią.

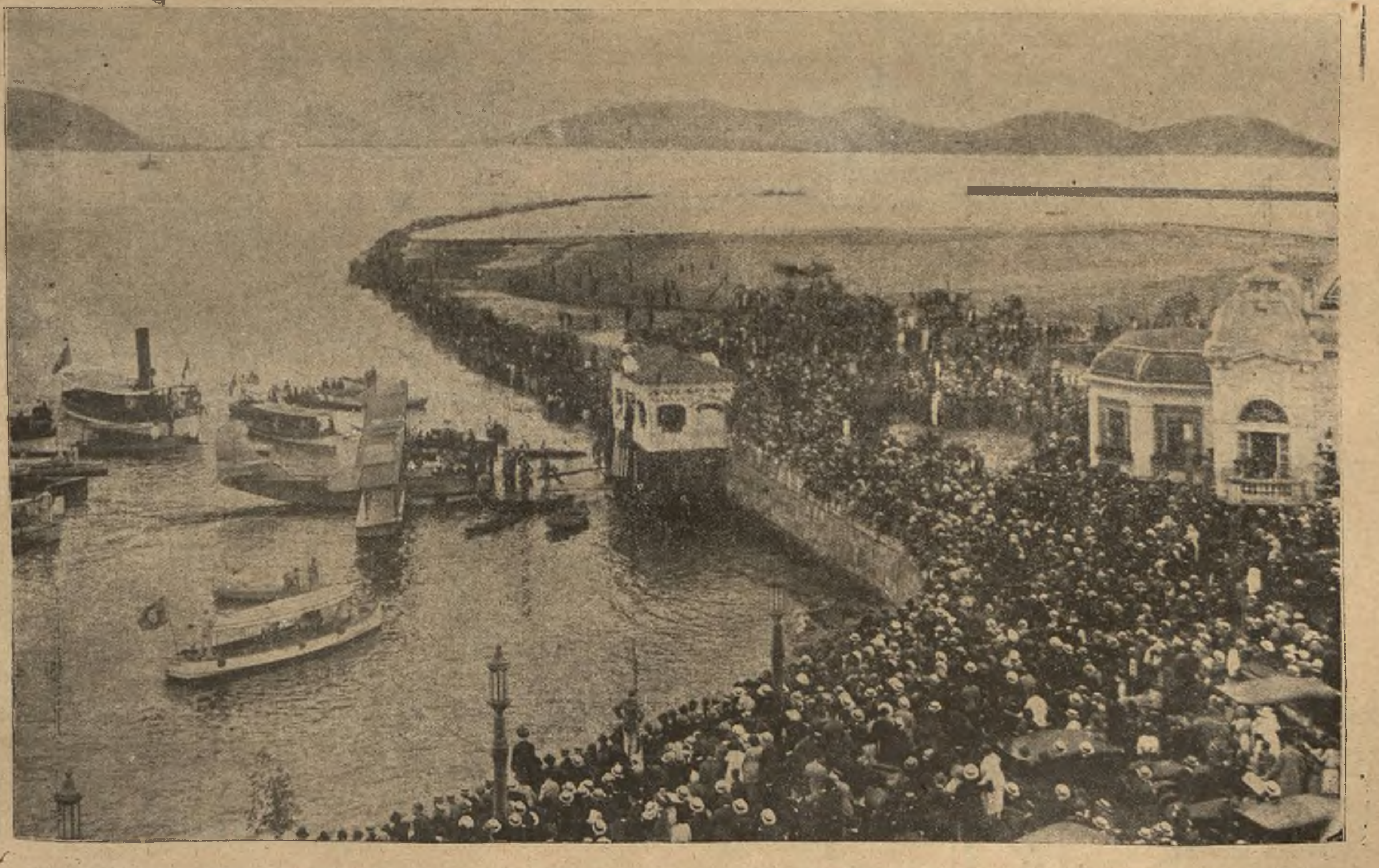
Człowiek, jako zdobywca powietrza.

W dniu 8. lutego b. r. powitała ludność Rio-Janeiro entuzyastycznie dwu śmiałych lotników, Waltera Hinton, Amerykanina i Pinto Martinsa, Brazylijczyka, którzy na swym hydroplanie *Sampaio Correia II.* przybyli tamże z Nowego Jorku. Nieustraszeni żeglarze napowietrzni opuścili Nowy Jork w sierpniu ubiegłego roku i ruszyli w podróż w nadziei, że uda im się dotrzeć do stolicy Brazylii na dzień 7. września, to jest na obchód stuletniej rocznicy ogłoszenia niepodległości tego kraju i otwarcia międzynarodowej wystawy.

Pierwszym etapem podróży była Filadelfia, skąd skierowano się ponad Karoliną, Georgią i Florydą w stronę południową. W dniu 22 sierpnia spadli lotnicy w morze, skąd wyratował ich krążownik amerykański, ich aparat uległ jednak tak poważnemu uszkodzeniu, że musiano go zastąpić innym. Ponad Antyllami, a następnie nad stałym lądem Ameryki Południowej mieli do zwalczenia tyle rozmaitych przeszkód i trudności, że koniecznem było przerywać podróż nieraz i na dłuższy czas. Nie zniechęciło to śmiałków i choć później znacznie, niż było postanowione, dotarli przecież do wytkniętego celu.

Podróży owej nie można uważać za rekordową, w każdym razie świadczy ona chlubnie o wytrwałości żeglarzy i o postępach nowoczesnej awiatyki.

Hydroplan amerykańskich lotników zaopatrzony był w dwa motory o sile czterystu koni, nie należał zatem ani do największych, ani do najsilniejszych, typ ten w niedługim czasie znaleźć się



Człowiek, jako zdobywca powietrza: Powitanie w dniu 8. lutego b. r. na Wystawie międzynarodowej w Rio de Janeiro przybyłych tamże drogą powietrzną z Nowego Jorku lotników, Waltera Hinton i Pinto Martinsa.

gotów wśród przeżytków sportowych, dziś bowiem pomysłowość ludzka wysila się na udoskonalenie i wprowadzenie do powszechnego zastosowania samolotu bez silnika, jako mniej kosztownego.

Cofając się do historyi lotnictwa, widzimy, iż początkiem były loty szybowe Lilienthala, skaczącego na nietoperzych skrzydłach z wieży i unoszącego się przez krótkie chwile dzięki rozpędowi. Pierwsze jego szybowania datują się od roku 1890. Nieco później znane są próby lotów szybowych Pilcnera (w Anglii), Oktawiana Chanute'a (Amerykanina) na dwu i pięciopłatowcu.

Na pracach tego ostatniego oparli się bracia Wilbur i Orville Wright, którzy od 1900 roku prowadzili doświadczenia nad lotem szybowym na zamkniętym terenie, niedostępnym dla ciekawych i rozpędzając się z pomocą wieży. Aparat braci Wright różnił się tem od innych, iż posiadał stery umieszczone z przodu, lotnik zaś leżał na specyalnych wzmocnieniach w dolnem skrzydle.

Inżynier Welss zbudował płaskie skrzydło w kształcie ptasim, na którem dokonał również szeregu lotów szybowych, leżąc płasko na noszach.

Wolfmüller zbudował w roku 1906 szybowiec o dwu parach skrzydeł nietoperza i latał na nim, wykazując dobrą równowagę.

Do tej samej kategoryi zaliczyć należy profesora amerykańskiego Langley'a, który zbudował t. zw. „aerodrom".

Gdy okazało się, że na aparacie cięższym od powietrza można latać, zaczęto je udoskonalać i zaopatrywać je w silnik oraz śmigło pociągowe, które znajdujemy już w aerodromie Langley'a. Początkowo, ma się rozumieć, liczono czas lotu silnikowego na sekundy.

Lotnictwo silnikowe zaczęło się udoskonalać wraz ze zbudowaniem specyalnych silników i w r. 1914 udało się Landmanowi utrzymać w powietrzu w ciągu 21 g. 48 m. 45 sek.

Przez ten czas zarzucono pracę nad lotem szybowym, odkładając go na plan drugi i dopiero po wojnie powrócono do prób w tym kierunku.



Śmierć „teściowej Europy" na wygnaniu: Zmarła w Antibes na Rivierze ex-królowa czarnogórska, Milena, z swym małżonkiem ś. p. królem Mikołajem.

Śmierć „teściowej Europy" na wygnaniu.

W dniu 16 marca b. r. zmarła w Antibes, na francuskiej Rivierze, wdowa po byłym królu czarnogórskim, słynnym ongiś Nikicie, nazywanym popularnie „teściem Europy", ex - królowa Milena, z domu Vukoticz. Niezbyt długo przeżyła swojego małżonka i podobnie jak on zamknęła oczy na obczyźnie, dokąd zagnały ich następstwa wojny światowej.

Milena Petrowicz-Njegusz dożyła poważnego wieku, bo lat 75, a uważać ją można zupełnie słusznie za jedną z ofiar wojny światowej. Utrata tronu i wygnanie podkopały jej, jak się wydawało, żelazne zdrowie, obcą czuła się zdala od swej ojczyzny, której nigdy już nie miała zobaczyć. Z licznego jej potomstwa jedna z jej córek, Helena, jest żoną króla włoskiego, dwie inne poślubiły jedna byłego króla serbskiego, Piotra Karageorgiewicza, druga rosyjskiego wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.